

Kronika tygodniowa.

(Kto miał rację? — Przebieg krytycznej nocy. — Radość a zarazem rozczarowanie w dniu 19 maja rano. — Podzielone zdania. — Wiadomość o dwu ogonach i skrzywieniu. — Zupelny brak ogona, stwierdzony przez damy. — Propozycje, jakie mi uczyniono. — Dlaczego nie będę dyrektorem obserwatorium. — Pierwszy raz zgadzam się z panem Ignacym. — Co mnie znów wstrzymuje od przyjęcia propozycji Wiliusia. — Wzlot Hieronymusa i sprawy budżetowe. — Kłopoty ministra skarbu. — Ludowcy i Wisła. — O kosze tramwajowe).

Ani nawet nie przypuszczałem, że posiadam tak wspaniałe, chociaż dotąd skromnie ukryte, zdolności astronomiczne, które otworzyły się dopiero dzięki komecie. Że tak jest, a nie inaczej, mogli przekonać się Szanowni Czytelnicy z moich zeszytygodniowych wywodów *ex re* zapowiedzianego na noc z 18 na 19 maja przejścia ziemi przez ogon Halleya. Konia z rzędem, i to żywego i rasowego ofiaruję każdemu, kto potrafi wykazać, że znalazł się na całym ziemskim globie drugi astronom, choćby nawet zawodowy, a nie amator, jak niżej podpisany, którego przepowiednie sprawdziły się tak, jak moje, co do joty. Oświadczyłem wówczas, że nie możemy dotąd stanowczo twierdzić, czy kometa rzeczywiście wędruje ponad nami, czy wogóle posiada ogon i czy ziemia przejdzie przez niego, a i dzisiaj wiemy o niej akurat tyle, co i przed tygodniem.

Krytyczna noc, na którą wielu oczekiwało z taką trwogą i niepewnością, przeszła przynajmniej w Krakowie bardzo spokojnie, nie stwierdzono nawet żadnych zaburzeń magnetycznych ani elektrycznych, małżeńskie zaś nieporozumienia i burze domowe, jakie zanotowano tu i ówdzie z powodu spóźnienia się małżonka-astronoma, w rachubę absolutnie wchodzić nie mogą. Kto wyszedł na Błonia, aby osobiście stwierdzić przejście ziemi przez ogon i natapać do butelki powietrza, przesyconego kwasem pruskim, powrócił z niczem—najlepiej stosunkowo wyszli ci, którzy w obawie katastrofy spędzali ową noc w sklepionych lokalach, jakich, dzięki Bogu, mamy dość w Krakowie (Wentzel, Kosz, Hawetka i t. d.). Co się mnie tyczy, to z wyluszczonych już poprzednio powodów nie opuszczałem w nocy z 18 na 19 maja domowego ogniska, lecz uzupełniwszy testament klauzulą, iż w razie odłożenia końca świata traci on moc obowiązującą, pożegnałem czule moją połowicę, podałem projekt jutrzejszego obiadu i w oczekiwaniu najgorszej ewentualności dałem nurka pod kołdrę. Spałem jak suseł... Gdy nazajutrz otworzyłem oczy, zegar wskazywał dziesiątą rano. Czcigodna moja połowica chrapała jeszcze, jak miech kowalski, na oko jednak świat wyglądał zupełnie tak samo, jak i wczoraj. Zadowolony, że przecież Flammarion nie miał racji, wyskoczyłem z łóża i spojrzałem przez okno na ulicę. Wszystko na swoim miejscu, wieża Marjacka i Sukiennice, nawet ten sam policyant, który wczoraj tak poważnie kroczył środkiem drogi, z nie mniejszą powagą i dziś odbywa swą zwyczajną wędrowkę.

— Stara! Więc żyjemy! — zawołałem z radością, budząc czcigodną magnifikę. — Nic ci się w nocy złego nie stało!

— Ano, jak widzisz! — odparła, przecierając oczy...

Tego, to mi żal rzeczywiście! — pomyślałem sobie w duchu i ubrałem się pośpiesznie, aby na własne oczy wyczytać w porannych wydaniach, czy tylko my jesteśmy tak szczęśliwi, czy też wogóle na całym świecie kometa krzywdy nikomu nie uczyniła. Tu i ówdzie spotykałem różnych amatorów-astronomów, wracających chwiejnym krokiem z całonocnych obserwacji, gromady ciekawych oblegały ekspedycje gazet.

Ale teraz dopiero dostałem się z deszczu pod rynnę! Zakupiłem wprawdzie wszelkie możliwe wydania poranne, dowiedziałem się jednak z nich, że ziemia przeszła już przez ogon, że prawdopodobnie przeszła, że dopiero przejdzie, ponieważ ogon komety z przyczyn od redakcji niezależnych skrzywił się w przeciwną stronę. Ów wolny wybór tak mnie zadowoluił, że ślubowałem, iż przez cały tydzień nie rzucę nawet okiem na żadne polityczne wiadomości, natomiast z nabożeństwem odczytam codziennie wszystkie notatki astronomiczne, w szczególności zaś odnoszące się do komety Halleya. I dowiedziałem się z czasem, że kometa ma ogon rzeczywiście skrzywiony (to przyznam się szczerze, jest bardziej *modern*, niż zupełnie prosty), że ma dwa ogony, jeden krótszy, drugi dłuższy, a nawet znalazł się jeden z mych przyjaciół, który z całą rodziną wybrał się w stronę Michałowic na obserwację i twierdził stanowczo, że to wszystko blaga, bo widział na niebie na własne oczy jakąś plamę

(miała to być właśnie owa kometa, ale *incognito*), a ona ogona zupełnie nie posiadała! Prawdziwość jego spostrzeżeń stwierdziła cała rada familijna, złożona aż z trzech pań, a wyrokowi takiego areopagu absolutnie sprzeciwić się nie byłbym w stanie, już choćby z samej galanterii, jaką winni jesteśmy niewiastom.

W tem samem, co i ja położeniu, jest zapewne i każdy z Szan. Czytelników, więc mi też przyzna, że jedynie moje przepowiednie spełniły się w zupełności, bo rzeczywiście o komecie nie dotąd pewnego nie wiemy, przeszła, czy nie przeszła, ma ogon, czy niema, a może jest nawet, jak lew czeski dwuogoniasta?!

Nie zdziwiły mnie też propozycje, jakie otrzymałem w bieżącym tygodniu. Krakowska Wszechnica, uznając moje znakomite zdolności astronomiczne ofiarowała mi posadę dyrektora obserwatorium, cesarz Wilhelm w odręcznym telegramie zaproponował zaś, czybym przypadkowo nie reflektował na posadę jego nadwornego astrologa. Na pierwszą ofertę odpowiedziałem odmownie, a to ze względu na mowę, wygłoszoną przez posła Daszyńskiego, który wykazał, że Wysoki Rząd w stosunku do potrzeb naszego uniwersytetu jest jeszcze więcej, niż skąpym i stale odmawia funduszy na najpotrzebniejsze nawet inwestycje. Jakże więc mógłbym odpowiedzieć zadaniu, skoro, jak mi opowiadano, krakowskie obserwatorium, oprócz nowej dziury w dachu, posiada same zresztą stare przyrządy, pomiędzy nimi zaś najwspanialszym i najnowszym jest teleskop, przez który Trzej Królowie śledzili przed wiekami bieg gwiazdy betleemskiej. W tym wypadku zgadzam się zupełnie z wywodami pana posła Ignacego, ale się znów Wysokiemu Rządowi nie dziwię, skoro bowiem potrzeba koron na okręty i armaty, a od tego zależy przecież powaga naszej c. k. szerszej ojczyzny, kto by tamłożył pieniądze na podobne głupstwa, jak nauka, bez której się łatwo każdy może obejść, jeśli tylko ma choć trochę szczęścia i sprytu życiowego.

Co do drugiej propozycji namyslałem się jeszcze, nie dlatego jednak, abym może żywił jakieś sympatyje dla potomków krzyżackiej zbieraniny, lecz jedynie z tego powodu, iż gdybym się na nią zgodził, to tylko w tej myśli, że odegram tam rolę Wallenroda, a boję się znowu, że potępiłoby mnie Stańczycy, którzy nawet w roku grunwaldzkim za żadną cenę nie pozwalają drażnić Niemców, kochających nas z całego serca i myślących tylko o naszej korzyści. Jeśli kto twierdzi, iż są wobec nas wrogo usposobieni, jest w błędzie, oni tylko udają, że nas gniotą, aby w narodzie polskim wyrobić tem silniejsze poczucie godności narodowej.

Zresztą każdy mógł się łatwo przekonać o szlachetności niemieckiego serca z okazji choćby pogrzebu króla Edwarda. Chociaż zdawało się, że Wiliś utopiłby wujaszka w tyżce wody, ponieważ tenże paraliżował jego polityczne zapędy, przecież na pierwszą wiadomość o jego śmierci, okazał tak wielką boleść, że aż wzruszenie opanowało całą niemiecką prasę, a nawet osobiście pospieszył do Londynu, aby się przekonać „na własne oczy“, czy to prawda, że rzeczywiście ten, który mu przeszkadzał, już nie żyje. Przybywszy do Londynu, wygłosił cały szereg czułości, nie zapomniał jednak i o pokoju światowym, którego jest takim orędownikiem i odbył konferencję z francuskim ministrem spraw zagranicznych, Pichonem, aby zmanifestować, że w spadku po wuju gotów jest objąć batutę kapelmistrza w koncercie europejskim. Przy takim zbiegu okoliczności posada nadwornego astrologa jego cesarskiej mości mogłaby być i bardzo wpływową i rentowną, ze względów jednak wyżej przytoczonych, obecnie już na nią nie reflektuję.

Raczej może zdecydowałbym się ze względu na powołanie Hieronymusa, na rozpoczęcie studyów aeronautycznych, aby mózdz z wyższych sfer spoglądać na nasz rozszerzony Kraków, który pomimo tak pokaźnych kształtów wykazuje w swym budżecie tylko sto tysięcy deficytu. Deficyt ten postanowiono pokryć z zapasów kasowych, których jednak u nas w Krakowie stale brakuje, albo też z pożyczki, mającej być spłaconą w trzech latach.

Budżet nasz miejski jest zawsze tak samo kulejący, jak i budżet naszej szerszej ojczyzny, z tą jednak różnicą, że gdy ona posiada zawsze na fotelu ministra skarbu genialnego męża, który, niczem Salomon, potrafi nalać z próżnego, to jest wynaleźć znów nowy jakiś podatek, u nas nie może to służyć za wzór, gdyż podatki z dodatkami, przybrały już tak potworne kształty, iż ani myśleć, aby je można jeszcze powiększyć. Genialności natomiast naszym ojcom miasta odmówić nie możemy, nie robią jednak z niej użytku, gdyż łatwo mogliby utracić popularność. Wiadomo powszechnie, że człowiek

na nic tak nie jest czułym, jak na kieszeń, to też każdy z agitujących mowców chcąc sobie zjednać życzliwość słuchaczy, powinien tylko zacząć wymyślać na ministra finansów, a może być pewnym oklasków. Tak zrobił onegdaj poseł dr. Gessman w Maryenbadzie i od razu zjednał sobie życzliwość słuchających.

Ciężki to zawód być ministrem skarbu, szczególnie w Austrii, gdzie deficyt jest chroniczną słabością, a gdzie znów pan minister wojny cierpi na morską chorobę i potrzebuje milionów na nową dreadnoughty. Odmówić mu nic nie można, bo tego wymaga mocarstwowe stanowisko austriackiej monarchii, a funduszy znaleźć trudno, gdyż parlamenty są dość wstrzemięźliwe w uchwalaniu nowych podatków, chyba, że się je grzecznie poprosi lub zagrozi rozpędzeniem, ale bez dyet. To też związa się minister, niczem piskorz, a śruba podatkowa obraca się z daleko większą chyżością, niż na aeroplanie Hieronymusa. Z kolei czekają na opodatkowanie wody mineralne i zapalki. Co do pierwszych, to niech tam flaszka kosztuje i guldena, mało mnie to obchodzi, byle piwo nie podróżowało. Chorowanie jest zbytkiem, kto więc żyje nad stan, niech płaci. Opodatkowanie zapalek wpłynie znów dodatnio na nasze panie, gdyż wówczas będziemy musieli ze względów oszczędnościowych utrzymywać ognisko domowe, a któż, jeśli nie kobieta, powołanym jest do ich strzeżenia? Jeśli więc nasze panie będą musiały dmuchać w domowe ognisko, nie będą mogły gonić po posiedzeniach, co nam mężom wyjdzie tylko na zdrowie!

Narzekamy ciągle na biedę, zdaje mi się jednak niesłusznie, skoro mógł osiąść w Krakowie na stałe wyścigowy bookmacher. Widocznie stawia narodek na różne koniki i lubi totalizatora, więc też musi mieć i pieniądze. Czy tak jest w istocie, wątpię, boć np. na loteryj liczbowej grają jedynie najbiedniejsze sfery, które odmawiają sobie kawałka suchego chleba, by mózdz zanieść parę centów i rzucić je w paszczę loteryjnego molocha, ale zawsze są w nadziei, że zdebankuje się pana ministra skarbu, któremu wówczas nie pozostanie nic innego, jak podanie się do dymisji.

Dymisją grożą również ludowcy swemu arcykapłanowi Stapińskiemu. W łonie ich utworzyła się fronda, grupująca się około lwowskiej *Gazety ludowej*. Przeciw dyktatorowi wytoczono nader ciężkie działa i rozpoczęto walkę podjazdową, a bomba ma pęknąć w czerwcu, w czasie kongresu ludowców w Rzeszowie. Tymczasem robi pan Jan wielką krzywdę Krakowowi, zabiera nam bowiem *Wisłę*, a jak można wyobrazić sobie gród Krakusowy bez jej modrych nurtów! Sama Rudawa nam nie wystarczy!

Niech się jednak pocieszy każdy miłujący rodzinne gniazdo Krakowianin, nie chodzi tu o ową mokrą *Wisłę*, bo ta nam zostanie, ale o tę suchą, która jest tak zwanem ludowem Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń. Pan Stapiński, pragnąc ją uregulować, zabiera ją ze sobą nad Pełtew, gdzie grunt ma być odpowiedniejszy. Pozostanie nam nadto druga jeszcze „*Wisła*“, w postaci klubu footballowego, bez tamtej więc stanowczo się obejdzimy.

Na zakończenie skromne zapytanie do Towarzystwa upiększenia miasta Krakowa. Swojego czasu porobił Zarząd tramwajowy na niektórych słupach kosze, rzekomo na kwiaty. Miasto miało się zająć ich zasadzeniem, ale dotąd o tem ani słyhu! Gdyby przynajmniej nasypało tam ziemi, wiatr przyniosłby może kilka nasion z plantacji i wreszcie ujrzelibyśmy zieloność, tymczasem wiosna się kończy, a lato zaczyna, a nikt o tem nie pomyślał... Czy może obawiano się fatalnych skutków komety?...
X.



Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.

RESTAURACJA w HOTELU SASKIM w KRAKOWIE
z 5-ma stylowymi gabinetami.

Codziennie **KONCERT** muzyki salonowej.

